

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Stanczewskiej.

TOM I

28

Dlaczego, tego dnia nagle, doznała wrażenia, że spoczywa na gorącym łonie Egiptu? Dlaczego, po raz pierwszy uczuła rzeczywistość czar tego kraju? Uczuła go w cieple, które ją pieściło, w miękim piasku, który leżał pod jej stopami. W słowach Hanzy, w jego postaci, jego oczach i milczeniu? Dlaczego? Czy dlatego, że nie była w towarzystwie Nigla?

W dzień ich przybycia Nigel wskazał jej na Hanzę. Widziała go niekiedy, lecz do dzisiejszego dnia nie spojrzała na niego uważnie kobiecimi oczami, które umieją odróżnić i ocenić.

Hanza był typem wręcz przeciwnym niż Ibrahim. Był nadzwyczaj szczupły, prawie drobny, z cienkimi kośćmi, delikatnymi rękami i nogami, wąskimi ramionami, wąską głową i twarzą podobną do pięknego brązu, poważną, cichą i skupioną — twarz, która zdawała się wszystko przyjmować, a nic absolutnie nie oddawać. Patrząc na niego Mrs. Armine przypominała sobie określające go zdanie, które go wyodrębniło od innych mieszkańców Luksoru. Był „modlącym się poganiaczem osłów”.

Dlaczego Ibrahim najął go na dzisiejszą wycieczkę? Nigdy im dawniej nie towarzyszył. Po cichu zadała Ibrahimowi to pytanie.

— On jest bardzo dobrym poganiaczem osłów, lecz nie dla my Lorda Armingel.

Mrs. Armine zapytywała się, dlaczego, lecz nie pytała więcej. Tego dnia czuła się w rękach Egiptu, a Hanza i Ibrahim byli jego częścią. Jeżeli miała najwięcej dzisiaj użyć, powinna pozostać bierną. I coś w niej mówiło, że we wszystkim, co Ibrahim czynił, miał jakiś wyraźny cel. Pomógł jej wsiąść na osła. Na tym, na którym miał sam jechać, były przytwierdzone dwa duże koszyki. Delikatnie wyglądający Hanza, którego ciało było w rzeczywistości silne jak stal, będzie biegł za nimi — do nieskończoności, jeśli będzie trzeba — boso.

— Dokąd pojedziemy, Ibrahim?

— Pojedziemy tą drogą, my Lady.

Wydał głośne westchnienie, natychmiast osioł ruszył, a za nim podążyła Mrs. Armine. Szeroka rzeka pozostała w tyle; jechali w stronę nagich gór Libijskich. Ibrahim ciągle przodował, wskazując drogę. Spuścił turban na tył swej kędzierzawej głowy, trzymał się przechylony z wystającymi długimi nogami, z których spadały skarpetki, ukazując brunatną skórę. Zaczął śpiewać cichym, monotonnym głosem, przerywając niekiedy głośnym westchnieniem, które pobudzało osła do biegu. Hanza biegł lekko za Mrs. Armine. Był białobłony i miał biały turban. W prawem rękę trzymał kawałek trzciny cukrowej. Trzymał się bardzo prosto biegnąc i twarz jego nie zmieniła wyrazu; oczy miał utkwione w Libijskie góry. Na płaskiej, szerokiej przestrzeni między Nilem a ruinami Teb, młode zboża rozlewały ostrą zieloność. Gdzieś tam w miniaturze laski donzy stały nieruchome w blasku słońca, nad łanami trzciny cukrowej śpiewały trzepoczące skrzydełkami skowronki. Pomimo, że to była zima i Boże Narodzenie się zbliżało, łagodne powietrze zdawało się być przepełnione uśmiechami wiosny, unoszącej się nad Wschodnim krajem. Był to kraj młodego zachwyty, nie bezmyślny, lecz łagodnie przejmującej radości. Wszystko, co żyło, śpiewało pieśń miłości bez wysiłku, gdyż wypływała ona z głębi serca, które nigdy nie doznało smutku.

— Rozkwitasz tutaj!

Nigel powiedział to Mrs. Armine, a ona przypomniała sobie te słowa teraz i czuła, że dzisiaj są prawdziwe.

Dokąd jedzie? Nie dbała o to. Jechała pod tem śpiewającym niebem, przez ten śpiewający kraj, a wśród tego śpiewającego słonecznego światła. To wystarczało. Raz czy dwa spojrzała na Hanzę, a ponieważ on ani razu nie zwrócił na nią oczu, przemówiła do niego po angielsku, czyniąc jakąś uwagę o pogodzie. Podniósł głowę, utkwilił w nią niewzruszone oczy, rzekł „Yes” i odwrócił się. Zadała mu pytanie, wymagające odpowiedzi: „No”. Odrzekł znowu „Yes” nie patrząc na nią. Biegł jak ożywiony

brązowy posąg, lekko, szybko, poważnie w stronę zabarwionych na tygrysi kolor gór. Było w Hanzie coś, co kazalo Mrs. Armine zapytywać się dokąd jada. Już zwiędła ruiny na zachodnim brzegu Nilu; poznała Medinat-Hebu, Deir-al-Bahari, Kurna, Ramessum, królewskie groby. Dojechali do miejsca na południe Teb i zdawali się kierować do Medinat-Habu.

— Dokąd jedziemy Hanza?

„Yes” — odrzekł.

I biegł, trzymając swój kawałek trzciny cukrowej, jak jaka hieretyczna postać w procesji z pochodnią w rękę. Ibrahim przerwał swą pieśń westchnieniem i lekko uderzył osła pod prawem uchem, zwracając go szybko na lewo.

W oddaleniu Mrs. Armine widziała wielką świątynię Medinat-Habu, lecz nie ona była celem ich wycieczki. Pozostawili ją na prawo. Ibrahim znowu uderzył osła i pojechali szybkim tempem w stronę gór Libijskich. Gorąco się wzmagało w miarę jak zbliżało się południe, lecz ona o to nie dbała, życzyła sobie nawet, żeby upał stał się coraz większy. Widziała krople potu, występujące na żywym posagu, który biegł obok niej. Ibrahim przestał śpiewać. Czy zbliżająca się złota pora południowa miała rzucić urok na jego wargi?

Jechali dalej i dalej.

— O!o miejsce na śniadanie my Lady.

Nareszcie Ibrahim zatrzymał osła, zsunął się z niego, trzymając swój dżelebich obiema brudnymi rękami.

Hanza gwizdnął i osioł Mrs. Armine nagle stanął. Zsiadła z niego. Znalazła się, lub myślała, że się znajduje w samym sercu gór, w dzikiej miejscowości z brunatnymi i czerwono-żółtymi przepaściami, piętrzącymi się skałami, które wyglądały jakby płomienie skamieniałe pod wpływem jakiegoś okrutnego, tajemniczego uroku. Stojąc i rozglądając się w koło, czuła gorący grunt pod stopami. Pierwszem jej wrażeniem było silne podniecenie. To puszkowicie podniecało ją, jak podnieca głośny, dziki, gwałtowny hałas. Przez chwilę stała, a pomimo, że tylko patrzyła, zdawało się jej, że słucha — słucha krzyku twardości, gorąca, blasku, które ją otaczały.

Hanza położył swą trzcinę cukrową na rozpalonym gruncie i zdjął oba koszyki.

— Dlaczegoście mnie tutaj przywieźli?

Pytanie to było w myśli Mrs. Armine, lecz je nie wypowiedziała. Podniosła rękę, uchyliła welon i wystawiła swą „niepoprawioną sztukę” twarz na słońce, lecz tylko na chwilę. Spuściła welon i rzekła do Ibrahima:

„Musisz mi znaleźć trochę cienia Ibrahim.”

— My Lady proszę pójść za mną.

Stąpiła wąską, stromą ścieżką, podobną do żółtej wstążki, spuszczonej ze słońca, a ona szła za nim, okrążając skałę, jakby rzuconą dla zamknięcia drogi, aż doszli do płaskiej, szerokiej krawędzi, nad którą wznosiły się góry. Długi i szeroki cień padał tutaj. Kiedy Mrs. Armine nadeszła, wydała okrzyk.

Oparte o ścianę skał, leżały spiętrzone poduszki, a przed nimi leżał rozestany wspaniały dywan. Na tem gorącym i dzikim puszkowiu, widok tych przedmiotów, przywodzących na myśl zbytek i ludzi, zdziwił ją i nieledwie przeraził; spojrzała w koło i podniosła welon. Lecz widziała tylko połyskujące, żółte i czerwone skały, jaśniejący piasek pomiędzy nimi i przepaście, jakby ogniste kaskady. I znowu wydało jej się, że słyszy gorąco, twardość i blask, wołający na nią.

— Oto miejsce na śniadanie my Lady.

Ibrahim patrzył na rozestany dywan.

— Ale... do kogo należą te rzeczy?

— Z pewnością są dla pani.

— Zostały tutaj złożone dla mnie?

— Z pewnością.

Wyglądał zawsze jak dobry, uprzejmy chłopiec. Mrs. Armine przez chwilę patrzyła na niego pytająco, potem nagle zwróciła do skały, która zakrywała Hanzę i osły i spojrzała na ścieżkę, którą przyszli. Na ścieżce klęczał Hanza z głową przy ziemi, podniósł się z zamkniętymi oczami, szeptał i szeptał pacierze. Poczem schylił się znowu i przyłożył czoło do ziemi. Mrs. Armine cofnęła się. Nie wiedziała dlaczego, ale na chwilę zimno się jej zrobiło, wśród palącego skwaru słońca.

— Hanza się modli — rzekła do Ibrahima, który spał spokojnie obok dywanu.

— Pewnie — odrzekł. — Kiedy Hanza się

zatrzymuje, zawsze się modli. Hanza jest bardzo dobry poganiacz osłów.

Mrs. Armine nie zadawała więcej pytań. Stała na dywanie i oparła się o poduszki. Teraz, kiedy była zabezpieczona od palących promieni słońca mogła jakby z teatralnej łoży, napawać się gorącą wspaniałością natury.

Ibrahim krzątał się w swej złocistej szacie, przynosząc pożywienie i wodę z sokiem cytrynowym, a kiedy wszystko zostało starannie przygotowane rzekł:

— Czy czegoś jeszcze brak, my Lady?

Mrs. Armine wstrząsnęła głową:

— Nie, Ibrahim, mam wszystko, czego mi potrzeba; bardzo mi tu dobrze.

— Wszystko, czego pani sobie życzy, musi mieć dzisiaj, my Lady.

Spojrzał na nią, odszedł i znikł za skałą. Wydało się jej, że dziwny wyraz, nie chłopięcy, lecz ostry i zmęczony błysnął i zgasł w jego oczach.

Pomału zjadła trochę pokarmu i wypila wodę.

Ibrahim nie wracał, nie słyszała jego głosu, ani głosu Hanzy. Wiedziała naturalnie, że obaj Egipcjanie są blisko niej za skałą; niemniej od kiedy nie mogła ich ani widzieć, ani słyszeć, czuła się jakby zupełnie samotną w górach. Wyciągnęła jedną poduszkę z za pleców i położyła na niej rękę. Wrażenie jedwabiu, pod dotknięciem jej palców, przeniosło ją znowu do wschodniego domu Barondiego. Skończywszy jeść, postawiła próżną szklankę na dywanie i zaczęła się dotykać poduszek. Czyniąc to, zdawało się jej, że widzi Hanzę ze swą piękną, surową twarzą, modlącego się na żółtej ścieżce.

Hanza, Ibrahim, Barondi, wszyscy trzej byli wschodniej krwi, wszyscy trzej tej samej wiary, z której Iona wyszły słowa wypisane na Lonił: „Przeznaczenie każdego człowieka jest zawieszone u jego szyi”. Każdego człowieka! Czy i kobiety? Co z jej własnym przeznaczeniem?

Otworzyła oczy i zobaczyła Barondi'ego, który stał, oparty o skałę i patrzył uważnie na nią.

Na chwilę nie wiedziała, czy była zdziwiona, czy nie. Rozsadek jej mówił, że nie może się spodziewać zobaczyć Barondi'ego tutaj, a jednak widziała, czuła z pewnością, że przyjdzie do tej ognistej puski, żeby ją widzieć i być z nią sam na sam.

— Dziękuję bardzo za dywan i poduszki.

Nie, nie była zdziwiona. Barondi opuścił skałę i zbliżył się do niej poważnie, bez uśmiechu. Miał na sobie białe, płócienne ubranie, białe obuwie i biały turban.

— Puisque votre mari n'y est plus, parlons français.

— Comme vous voudrez — odrzekła.

Nie spytała się, dlaczego woli mówić po francusku. Bardzo mało „dlaczego” stało pomiędzy nią, a tym człowiekiem, którego ledwo знаła.

Barondi stał wciąż na słońcu, a ona patrzyła na niego wygodnie ze swego cieniściego miejsca.

— Armani jest w tej stronie? — rzekła.

— Tego nie mówię, lecz jest niedaleko Fayum.

— Tak mało wiem o Egipcie. Proszę mi wybaczyć moją nieznajomość.

— Pani będzie wiedziała więcej o moim kraju — daleko więcej, niż inne angielski — kiedyś.

Mówił z prawie brutalną pewnością siebie, i zauważyła, że nie kończy zdań słowem „madame”. Jego wielkie oczy, które w nią utkwili, patrzyły na nią z góry wprost, jak oczy drapieżnego ptaka. Przenikały ją, lecz nie pozwalały przenikać siebie, wejść choćby trochę na terytorium myśli i uczucia.

Przypomniała sobie oczy Meyera Iseacsona. One także były przenikliwe, prawie z okrucieństwem; lecz podczas gdy wskazywały na pracę jego umysłu, oczy Barondi'ego ukrywały czynność jego myśli, a natomiast badały i czytały w jej głębi. To niedopuszczanie do siebie, w połączeniu z moralnem jakby rabunkiem, tak wymownie egoistyczne, przedstawiało się jej jako niezwykle pocucie jego siły. Przez lata całe panowała nad mężczyznami. Ten człowiek będzie panował nad nią. On wiedział o tem, wiedział o tem od pierwszej chwili, kiedy jego oczy na niej spoczęły. Czy to jego strona grecka, czy egipska ją zwyciężyła? praktyczna i energiczna? czy tajemnicza i fatalistyczna? Jak dotąd nie mogła powiedzieć. Może posiadał te obie przynęty, dla jej podwójnej natury.

— Pan tak sądzi? — rzekła. — Wątpię. Nie wiadomo, czy spędzę drugą zimę w Egipcie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)